

LUDKA SKRZYDLEWSKA



DO WESELA SIĘ ZAGOI

TEGO UCZUCIA NIE DA SIĘ ZAPLANOWAĆ...
NAWET W EXCELU



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Projekt okładki: Justyna Knapik

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: editio.pl (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/gdzier

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2883-1

Copyright © Helion S.A. 2026

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)



Rozdział 1.

Sutton

Już trzeci raz tego wieczoru ktoś depcze mi po ogonie.

Od początku wiedziałam, że pomysł z tym kostiumem jest zwyczajnie głupi. Domyślałam się, że będzie mi gorąco i niewygodnie, a poza tym nikt z obecnych na imprezie mnie nie pozna ani nie usłyszy, co mówię, dopóki się do niego nie wydrę. Doszłam jednak do wniosku, że warto, bo miałam być atrakcją dla dzieci, a nie dla siebie czy innych dorosłych.

Jednak nadeptywanie na ogon doprowadza mnie do szewskiej pasji.

Przez ostatnie dwie godziny było naprawdę fajnie – dzieci bawiły się w kilku grupach wiekowych w restauracji, czyli największym pomieszczeniu w pensjonacie Mari, a my we dwie animowałyśmy im zabawy, poprzebierane jak głupie. W przeciwieństwie do pozostałych dorosłych gości – głównie rodziców dzieciaków – którzy bawią się w przygotowanej do tych celów świetlicy, nie potraktowałyśmy tematu przebierania się umownie – obie mamy na sobie kostiumy. Mari jest ogromnym bałwanem, a ja dinozaurem.

Właściwie to chciałam być pumą, ale w sklepie nie mieli odpowiedniego rozmiaru, a gdy tylko Susie zobaczyła ten, natychmiast kazała mi go wziąć.

– Dinozaur, serio? – zapytała Mari sceptycznie. – Myślałam, że boisz się, że przestraszysz tym dzieci.

Wzruszyłam wtedy ramionami.

– Może i tak, ale to najnowsza obsesja Susie – wyjaśniłam. – Próbowалам jej wytłumaczyć, że fakt, że ona chce zostać paleontolożką, nie oznacza jeszcze, że wszystkie dzieci muszą oglądać mnie w przebraniu dinozaura, ale nie chciała słuchać.

Susie w ogóle rzadko mnie słucha.

Bawiłyśmy się więc z dziećmi przez jakieś dwie godziny, dopóki nie wpadła do nas Lizzy, macocha Mari, wraz z moją mamą, i nie postanowiły nas na jakiś czas wymienić. Wprawdzie powtarzałam, że wcale tego nie potrzebuję i że lepiej bawię się z dziećmi niż z dorosłymi, ale nie słuchały. Kazały nam iść coś zjeść i znaleźć swoich znajomych, a same przejęły nadzór nad dziećmi.

Pomysł na tę imprezę wyszedł od Mari i ode mnie, dlatego zgodziłyśmy się przekazać ten obowiązek dość niechętnie. My to wymyśliłyśmy, więc byłyśmy odpowiedzialne za dzieciaki. Jest sylwester i chcieliśmy, żeby chociaż raz dzieci naszych znajomych z Silver Springs mogły się poczuć, jakby rzeczywiście świętowały ten dzień, a nie tylko przeszkadzały w zabawie rodzicom – stąd cały ten spęd. Kiedy jednak trafiliśmy w końcu do świetlicy, bardzo szybko stwierdziłam, że wołałabym nadal pilnować dzieci.

Przy trzecim nadeptnięciu na mój ogon jestem już tego pewna.

– Boże, czy tak trudno patrzeć pod nogi?! – krzyczę, odwracając się wraz z talerzykiem z ciastem, kurczowo ściskanym w łapach. Jeszcze nie wymyśliłam, jak zamierzam je zjeść, bo w tym celu musiałabym przynajmniej zdjąć głowę od kostiumu, ale pomartwię się tym, gdy dotrę do jakiegoś stolika. – Nadepnąłeś mi na ogon!

Jakiś obcy facet w garniturze i okularach spogląda na mnie ze zdegustowaną miną. Chyba nawet nie jest pewien, gdzie patrzeć, żeby znaleźć moje oczy.

– Słucham? – pyta uprzejmie.

Jezu. Przez ten kretyński strój i dudniącą dookoła muzykę on nawet nie słyszy, co do niego mówię.

Próbuję się wyswobodzić, ale idiota dalej stoi mi na ogonie. Szarpie się, krzycząc, żeby się odsunął, a on wzdycha i unosi wzrok do sufitu.

– To znowu jakiś głupi żart Santa i Mari, tak?

Szarpie się raz jeszcze, a wtedy dzieje się kilka rzeczy naraz.

Mój ogon w końcu wyslizguje się spod buta tego kretyna, jednak tak gwałtownie, że oboje tracimy przez to równowagę. Facet próbuje mnie przytrzymać, kiedy odchylam się do tyłu, przez co szarpie mną w drugą stronę, a znajdująca się na moim talerzyku szarlotka...

Ląduje prosto na białej koszuli tego typu.

Przez chwilę oboje stoimy w bezruchu; ja gapię się na umazaną kremem i jabłkami – niegdyś śnieżnobiałą – koszulę, a ten gość... właściwie nie wiem na co, bo nie ośmielałam się spojrzeć wyżej i sprawdzić, jak bardzo jest wściekły. Złość w jednej chwili ze mnie wyparowuje, pozostawiając po sobie zawstydzenie. Czuję, że policzki mi płoną, i dobrze, że nie widać mojej twarzy. W tej chwili cieszę się, że jest schowana wraz z resztą ciała pod kostiumem dinozaura, nawet jeśli większość osób na tej imprezie i tak wie, kim jestem.

Problem w tym, że ja sama znam większość osób z tej imprezy. Tego typu nie. Ciekawe więc, kto to jest? Nowym partner jednej z matek?

– Och, kurwa – odzywa się w końcu gdzieś nade mną. – To chyba jakieś żarty.

Drżącymi rękami odstawiam talerzyk z resztką szarlotki na stolik, a potem sięgam po głowę mojego kostiumu i ją zdejmuję, bo czuję, że się duszę. Ludzie wokół nas nadzwyczaj taktownie udają, że niczego nie zauważyli – a może raczej przeczuwają nadchodzącą awanturę i nie chcą być jej świadkami.

Uwalniam w końcu głowę, palcami przeczesuję moje ciemne włosy, świadoma, że jak zwykle zdążyły zmienić się w splątane gniazdo, i podnoszę w końcu wzrok na typa, którego niechcący poczęstowałam moją szarlotką.

Okej. Chyba rzeczywiście się wścieka.

Szkoda, bo równocześnie okazuje się też zaskakująco gorący.

Stawiam, że ma kilka lat więcej ode mnie, ale pewnie niewiele. Jest wysoki, barczysty, a jego nieco zbyt blada skóra stanowi ciekawy kontrast z niemalże czarnymi włosami i rzucającymi gromy ciemnymi oczami. Usta ma zaciśnięte w wąską kreskę, a okulary nieco mu się przekrzywiły.

Mogłabym nawet uznać go za przystojniaka, gdyby nie patrzył na mnie tak, jakby chciał mnie zobaczyć martwą.

– Stałeś mi na ogonie – oznajmiam uprzejmie, wsuwając sobie pod pachę głowę dinozaura. – Próbowałam się tylko uwolnić.

– Może trzeba to było zrobić nieco ostrożniej? – warczy. – Nie miałem pojęcia, co tam mruczysz spod tego kostiumu. Kto w ogóle przychodzi na imprezę sylwestrową w kostiumie dinozaura?!

Przewracam oczami.

– A kto przychodzi na imprezę sylwestrową z kijem w dupie?

Facet patrzy na mnie tak, jakby zabrakło mu słów, ale postanowił za to zasztyletować mnie spojrzeniem. Cóż... Nie pierwszy raz mi się to zdarza.

Nic nie poradzę, że czasami zwyczajnie nie panuję nad moim językiem.

– Chodź, pomogę ci to sprać – proponuję, kiedy on nie odpowiada. – Powinno zejść, jeśli się tym dobrze zajmiemy...

– Ty na pewno nie będziesz się zajmować niczym, co należy do mnie – przerywa mi lekceważąco. Mrużę na niego oczy, z czego nic sobie nie robi. – Wyraźnie jesteś niepoczytalna. Jak tu weszłaś? Powinienem chyba powiedzieć Saintowi, że trzyma tutaj wariatkę.

Aha. Czyli to jakiś znajomy Sainta.

Cudownie.

Nie żebym miała coś do Santa. Skąd. Kiedy już się ogarnął i przestał ranić moją przyjaciółkę, to okazał się całkiem w porządku. Za to, co odwalął, chciałam go zabić tylko przez kilka pierwszych tygodni po jego powrocie do Silver Springs. Teraz jest już okej i jego znajomi są tu zazwyczaj całkiem mile widziani.

Ale najwyraźniej ten powinien stanowić wyjątek.

– Ach tak? – pytam cierpko. – A jesteś pewien, że to nie swoją twarz zobaczysz koło recepcji w gablotce „Tych klientów nie obsługujemy”?

Facet podnosi na mnie brew.

– Nie ma tu takiej gablotki.

– A może powinna powstać – odpowiadam natychmiast. – Zajmę się tym zaraz po Nowym Roku.

Powoli zaczynamy chyba przyciągać coraz większą uwagę, ale mam to gdzieś. Zazwyczaj mam takie rzeczy gdzieś. Całe miasto mnie zna i wie, czego mogą się po mnie spodziewać, więc nie powinni być zaskoczeni. Jestem bardzo miła i pomocna wobec każdego, serio, ale gdy nadeprnie mi się na odcisk, gryzę.

Albo, tak jak w tym przypadku, na ogon.

Nieznajomy już otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć – z pewnością coś głupiego i złośliwego – kiedy nagle ktoś odważniejszy niż reszta tłumu materializuje się obok nas.

Tym kimś oczywiście jest Mari.

Moja przyjaciółka nadal ma na sobie kostium bałwana, ale podobnie jak ja zdjęła z niego głowę, zapewne żeby móc się do nas w ogóle odezwać. Szeroko uśmiechnięta, z długimi blond lokami spływającymi jej na ramiona, Mari wygląda słodko i niewinnie. Pozory mylą, bo moja przyjaciółka ma niewyparzony jęzor zupełnie jak ja, ale lepiej się maskuje.

I chyba lepiej też idzie jej trzymanie go za zębami.

– Och, jak cudownie! Widzę, że już się poznaliście – szczebiocze, z pewnością udając, że nie wyczuwa napięcia między nami. Musi też cierpieć na tymczasową ślepotę, jeśli nie dostrzegła, jak

jeszcze kilka sekund temu się kłóciliśmy. – Świetnie, to wszystko nam ułatwi!

Zaczynam mieć bardzo złe przeczucia.

Mrużę oczy, przesuwając spojrzenie z typa na Mari i z powrotem. Potem dostrzegam, że gdzieś za nią w naszą stronę kroczy także Saint, jej świeżo upieczony narzeczon.

– Niby co ma nam to ułatwić? – pytam podejrzliwie. Potem typię niezyczliwie na faceta. – I kto to właściwie jest?

– Och, czyli jednak się nie znacie? – Mari mruga niewinnie, a ja nie wierzę w ani jedną jej reakcję. – Sutton, to jest Hugh Holloway, współnik Sainta. Prowadzą razem firmę w Denver. Hugh, to jest Sutton Clarke, moja przyjaciółka. Sutton pomaga mi czasami w pensjonacie, a poza tym robi jeszcze sto innych rzeczy. Super, nie?

Nie wiem, co w tym takiego super. Krzywię się, nie odzywając ani słowem, a ten typ z kijem w dupie – który najwyraźniej ma na imię Hugh – robi zdegustowaną minę, a potem niechętnie wyciąga do mnie rękę.

Chce, żebym mu... podała swoją?

Napluł na nią, kiedy nie patrzyłam, czy co?

Waham się przez kilka sekund, aż gość znowu podnosi na mnie brew, jakby mnie prowokując. Może ma jakiś tik nerwowy albo coś, ale to działa, bo w końcu podaję mu dłoń. O dziwo nic złego się nie dzieje, ziemia się nie rozstępuje ani nic.

Pomijam fakt, że czuję dziwne iskry przebiegające między nami. Hugh Holloway ma silny, ciepły uścisk, któremu staram się dorównać, nie pokazując po sobie równocześnie, jak bardzo rozgrzało mnie zwykłe podanie sobie dłoni.

W końcu wyszarpuję własną i krzywię się nieco, co też nie umyka jego uwadze. Mruży oczy.

W następnej chwili do Mari dołącza Saint, który z trudem – z uwagi na kostium bałwana – obejmuje narzeczoną ramieniem.

– Poznajemy się, tak? – zagaduje wesoło. – To się świetnie składa, bo niedługo będziecie mieli ze sobą całkiem sporo do czynienia.

Zaraz... Co takiego?

– Kochanie, jeszcze im nie powiedziałam – tłumaczy Mari spokojnie, a Saint posyła jej łagodny uśmiech. Kiedy na nich patrzę, odrobinę topnieję, bo są naprawdę słodcy. – Przestań, bo jeszcze się zestresują.

– Czym tu się stresować? – pyta Saint z rozbawieniem. – To same przyjemne rzeczy.

Okej... To zaczyna brzmieć naprawdę niepokojąco.

– Może po prostu powiecie, o co chodzi? – proponuje Holloway, na co kiwam głową, choć mam ochotę się nie zgodzić dla samej zasady.

Oni tylko wymieniają spojrzenia, a potem Mari znowu zerka na nas.

– Bierzemy ślub w walentynki – oznajmia, na co automatycznie się rozpromieniam. – Mamy mało czasu, więc będziemy potrzebować waszej pomocy z organizacją wieczoru panieńskiego i kawalerskiego, a także samego wesela. Tym bardziej że chcieliśmy was poprosić, żebyście zostali naszymi świadkami.

Że ja i... on?

Dobra, nieważne. Ten typ nie zepsuje mi takiego fajnego momentu.

– Naprawdę?! – piszczę, a potem próbuję przytulić Mari, ale w naszych kostiumach okazuje się to niemożliwe. Po prostu więc wyciągam do niej ręce i obejmuję ją na odległość, podchwytyjąc kątem oka rozbawione spojrzenie Sainta. – Pewnie! Będę najlepszą świadkową na świecie, zobaczysz! Już mam milion pomysłów co do wieczoru panieńskiego!

– Tylko nic szalonego – uprzedza Mari, tym samym rujnując od razu połowę moich planów. – Nie rób takiej miny, Sutton!

– Czuję się, jakbyś właśnie zabiła mi szczeniaczka – oznajmiam, na co moja przyjaciółka parska śmiechem.

– Dobra, odrobinę szalonego. Ale tylko odrobinę, jasne?

Kiwam głową, a potem spoglądam w końcu na Hugh Hollowaya, który cały czas gapi się na mnie tak, jakby zamierzał mnie zepchnąć z wyciągu narciarskiego przy pierwszej nadarzającej się okazji. Mam ochotę pokazać mu język, ale próbuję zachowywać się dojrzałe, więc tego nie robię. Uświadamiam sobie jednak, że organizowanie wesela Mari i Santa będzie się wiązało z przynajmniej jedną niedogodnością.

Będę musiała współpracować z *nim*.

A w następnej chwili Mari dolewa oliwy do ognia, pytając nagle:

– Hugh, co się stało z twoją koszulą?



Rozdział 2.

Hugh

To najgorszy wieczór, jaki przeżyłem od dawna.

Nie lubię sylwestra ani imprez w gronie obcych mi ludzi i normalnie nawet by mnie tu nie było, gdyby Saint nie upierał się, żebym przyjechał. Teraz już wiem, po co mnie tu ściągnął – chcieli mnie poprosić o bycie świadkiem na ich ślubie, co właściwie jest całkiem miłe.

Gorzej, że to oznacza kontakt z tą ciemnowłosą katastrofą, rzekomo przyjaciółką Mari.

Nie wiem, jakim cudem ta kobieta się z nią zaprzyjaźniła. Sutton chyba trzymała jej pistolet przystawiony do głowy, aż ta się nie zgodziła.

Na szczęście nie muszę jej oglądać zbyt długo po rewelacjach Mari i Sainta, bo narzeczona mojego przyjaciela zabiera mnie do toalety, żeby pomóc mi doczyścić koszulę. Oczywiście wiem, że wyrzucę ją do śmieci, kiedy tylko wrócę do domu, ale na razie muszę się jakoś prezentować przez resztę nocy.

– Strasznie cię przepraszam – mówi Mari, kiedy w ciasnym pomieszczeniu na parterze jej pensjonatu próbuje zaprać na mnie plamę. – Sutton nie chciała. Na pewno nie zrobiła tego specjalnie.

Jeszcze mnie wtedy nie znała, więc nawet byłbym skłonny w to uwierzyć, gdyby nie podejrzenie, że ona takie rzeczy robi na co dzień. Mari nawet nie wydaje się zaskoczona.

– Może po prostu pożyczę ci jedną z koszul Sainta, co? – proponuje w końcu, najwidoczniej kapitulując w obliczu jabłek wciąż barwiących biały materiał. Żadne jej starania nie pomogły, czego się oczywiście spodziewałem. – Chyba powinna pasować.

Saint jest ode mnie nieco szczuplejszy w barach, ale to i tak lepsze wyjście niż paradowanie do północy z płamą na koszuli. Krzywię się, ale dochodzę do wniosku, że nawet jeśli rozerwę przypadkiem materiał na szwie, to spod marynarki i tak nie będzie widać.

– Pewnie – mamroczę. – Chętnie się przebiorę.

Mari posyła mi szybki uśmiech.

– Domyślam się – stwierdza. – Dobra, zaraz wracam.

Zostawia mnie w toalecie samego, a ja z westchnieniem zdejmuję marynarkę, potem zsuwam szelki i zabieram się za rozpiśnięcie guzików koszuli.

Mari dobrze wie, jak bardzo nie lubię takich odstępstw od normy. Potrzebuję pewnych stałych elementów w moim życiu, żeby czuć się dobrze, a porządne, czyste ubranie jest jednym z nich. W miejscach publicznych, bym utrzymał komfort, konieczny jest garnitur.

A *przyjaciółka* Mari zniszczyła jedną z moich ulubionych włoskich koszul.

Palce zajęte rozpinaniem guzików zamierają na chwilę, gdy przypominam sobie, jak dziewczyna ściągnęła głowę tego śmiesznego kostiumu dinozaura. Ciemne, splątane loki rozlały się na jej ramiona i wokół twarzy, a na samo wspomnienie, jak jej piwne oczy spotkały się z moimi, robi mi się dziwnie gorąco. Szarpnię moją koszulę tak mocno, że jeden z guzików urywa się i leci gdzieś pod umywalkę.

Dobra. To już i tak bez różnicy.

Obiektywnie rzecz biorąc, Sutton Clarke jest naprawdę piękna. Ma najdłuższe rzęsy, jakie kiedykolwiek widziałem, i uśmiecha się tak słodko (oczywiście nie do mnie, tylko do Mari i Santa), że prawie byłbym skłonny uwierzyć, że nie jest złem wcielonym. Pewnie powinienem dać jej drugą szansę i uznać, że nasze pierwsze spotkanie po prostu było niefortunne, ale z jakiegoś powodu...

Przeczuwam, że kolejne też nie będą najprzyjemniejsze.

Z westchnieniem kręcę głową i wyciągam koszulę ze spodni, po czym wreszcie ją z siebie zrzucam. Nie będę myśleć o przyjaciółce Mari ani jej piwnych oczach więcej, niż to absolutnie konieczne. Po prostu nie.

Chcę tylko wytrzymać na tym głupim przyjęciu do północy, powitać z przyjaciółmi nowy rok, a potem wsiąść w samochód i wrócić do Denver.

Oczywiście wiem, że w nadchodzących tygodniach będę musiał spędzić więcej czasu tutaj niż w domu. Skoro mam pomagać w przygotowaniach do wesela i ogarnąć wieczór kawalerski, będę musiał przebywać tutaj częściej. Nie mam z tym problemu, o ile Mari znajdzie dla mnie miejsce w tym jej uroczym pensjonacie.

Silver Springs to w ogóle całkiem ładne miasteczko, do którego w sezonie narciarskim chętnie zjeżdżają turyści. Ma swojski klimat i jest zdecydowanie przytulne, zwłaszcza gdy zimą spada tu tyle śniegu, że wyjechanie stąd okazuje się niemalże niemożliwe. Na szczęście minęły już święta – przed Bożym Narodzeniem całe centrum zostaje obwieszane taką ilością dekoracji świątecznych, że spokojnie wystarczyłyby ich jakiemuś małemu państwu. Totalnie nie mój klimat, ale rozumiem, dlaczego Mari i Saint lubią spędzać tutaj połowę roku.

Sam jakoś wytrzymam do ich ślubu.

Wrzucam brudną koszulę do znajdującego się w kącie pomieszczenia niewielkiego kosza na śmieci, a ledwie się prostuję, drzwi toalety ponownie się otwierają. Spodziewam się zobaczyć w wejściu Mari, jednak kiedy spoglądam w tamtą stronę, moim

oczom ukazuje się znajoma burza ciemnych loków i rozszerzone w zdumieniu piwne oczy.

Usta Sutton też są rozchylone.

Potrzebuję sekundy, żeby zrozumieć, co tak ją zdziwiło. Sekundy, podczas której stwierdzam, że dziewczyna zdążyła porzucić gdzieś ten niedorzeczny kostium dinozaura i obecnie ma na sobie prosty bordowy sweter i czarne legginsy. Dzięki temu widzę wyraźnie, że jest niewysoka i drobna, czego wcześniej nie mogłem należycie ocenić.

I gapi się na mnie tak, jakby zapomniała języka w gębie.

Dopiero po chwili orientuję się, o co jej chodzi. W końcu jestem bez koszuli. Wystawiłem nagą klatkę na widok publiczny, co nie zdarza mi się często. Kiedy dostrzegam, że jej spojrzenie ucieka w dół mojego ciała, odruchowo zaplatam ramiona na piersi, starając się, by wyglądało to na stanowczy ruch, a nie taki, jakbym się spieszył.

Totalnie się *nie* peszę.

– Co ty tu robisz? – pytam ostro.

Sutton podskakuje, a jej oczy wracają do moich. Chyba widzę w nich odrobinę wyrzutów sumienia.

I dobrze.

– Mari prosiła, żebym ci to przekazała, bo musiała iść do gości – mamrocze. Wyciąga w moją stronę rękę, w której rzeczywiście trzyma koszulę, ale po namyśle ją cofa. – Ale nie wiem, czy wciąż potrzebujesz...

Z mojego gardła wydobywa się warknięcie, a zaraz potem sięgam w przód i wrywam jej z ręki ubranie. Sutton wykrzywia usta w łobuzerskim uśmiechu, a kiedy zakrywam się materiałem, udając, że wcale nie chodzi o *zakrywanie się*, ona nadal nie rusza się z miejsca.

– No, już, sio – mamrocze.

W odpowiedzi tylko unosi brwi.

– A dziękuję? – pyta. – Pofatygowałam się tu specjalnie, żeby ci ją przynieść.

– Bo czułaś się winna, że na poprzednią wywalilaś mi szarlotkę – wypominam jej, a potem wzdycham z rezygnacją i zaczynam się ubierać.

Jej spojrzenie ani na moment nie opuszcza moich oczu, co przyjmuję z niejaką ulgą.

– To twoja wina – prycha. – Trzeba było mi nie stawać na ogonie.

– Trzeba było nie przychodzić na imprezę w pieprzonym stroju dinozaura – warczę, walcząc z rękawami koszuli.

Naprawdę jest nieco za ciasna, ale na szczęście nie na tyle, żebym w nią nie wszedł. Mam nadzieję, że żaden guzik mi nie odpadnie, kiedy spróbuję ją zapiąć, chyba że miałby polecieć prosto do otwartej, niewyparzonej buzi panny ciekawskiej. Wtedy mógłby odpaść.

Zapinam szybko koszulę – rzeczywiście jest zbyt dopasowana jak na mój gust, ale przynajmniej się dopina – a potem rozpinam spodnie, żeby włożyć ją do środka. Sutton przyryka powieki z tymi długimi rzęsami, jakby bardzo się powstrzymywała, żeby nie spojrzeć w dół, a na jej kremowobiałej szyi pojawia się odrobina rumieńca.

Coś takiego.

– Zamierzasz dalej tak stać i się gapić? – pytam w końcu.

Wtedy ona posyła mi promienny uśmiech.

– Jakby było na co – prycha. – Zastanawiałam się tylko, czy będziesz potrzebował pomocy z szyciem, jak już te twoje napompowane bicepsy rozerwą ten biedny materiał. Ale skoro sobie radzisz, to spadam, pa!

Po czym odwraca się na pięcie i odchodzi, nie dając mi nawet rzucić ripostą, że jeszcze chwilę temu gapiła się na te moje napompowane bicepsy, jakby jej się bardzo podobały.

Przyglądałam się jej przez chwilę, a potem zatrząskuję drzwiami i zamykam zamek. Nie potrzebuję więcej nieproszonych gości.

Właściwie powinienem z nią normalnie porozmawiać. Spróbować się dogadać, skoro mamy ze sobą współpracować. Ale jest w tej kobiecie coś takiego, co budzi moje najgorsze instynkty, i pewnie dużo z tym wspólnego ma niedawna szarlotkowa katastrofa. Ale też to, jak Sutton zachowała się po całym tym zajściu – jakbym to *ja* był wszytkiemu winny.

Potrafię rozpoznać rozpuszczoną małodatę, kiedy ją widzę, a ta z pewnością jest jedną z nich.

Ciągle nie mogąc wyrzucić z głowy myśli o przyjaciółce Mari, poprawiam koszulę, wkładam ją w końcu w spodnie i wygładzam materiał. Rozchodzi się nieco przy guzikach, ale pewnie nikt poza mną nie zwróci na to uwagi. Z kolejnym westchnieniem zakładam z powrotem szelki, a potem sięgam po marynarkę. Właśnie wtedy ktoś naciska klamkę, a kiedy drzwi się nie otwierają, robi to ponownie, a potem kolejny raz, aż zaczynam się zastanawiać, czy to ta kobieta wróciła, żeby mnie męczyć.

– Zajęte! – wyrzucam ostro, ostatni raz kontroluję swój wygląd w lustrze, a potem otwieram drzwi.

Na zewnątrz nie stoi Sutton.

To kilkuletnie dziecko.

Przez chwilę gapię się na dziewczynkę bez słowa, a ona na mnie, wyraźnie zaskoczona. Ma na sobie różową rozkloszowaną spódniczkę i zielony T-shirt z wizerunkiem dinozaura, który zupełnie do niej nie pasuje. W misternie splecionych na jej głowie blond warkoczach dostrzegam różowe wstążki.

Nie mam pojęcia, ile to dziecko może mieć lat, bo kompletnie się nie znam na wieku małych dziewczynek, ale jest drobna. I młoda.

I wciąż się na mnie gapi, zaskoczona, aż wreszcie wykrzywia usta w uroczym uśmiechu.

– Mogę? – pyta, wskazując na toaletę za mną. – Bo inaczej się posikam, a wtedy mama mnie zabije. Wypiłam trzy napoje, a ona zazwyczaj pozwala mi co najwyżej na jeden. Mówi, że to przez

ilość cukru, ale ja tam nie widzę nic złego w cukrze. Cukier jest dobry, nie?

Marszczę brwi.

– Cukier niszczy zęby i powoduje cukrzycę – informuję ją, a dziewczynka robi taką minę, jakby doskonale o tym wiedziała. – Ale po trzech napojach na pewno nic ci nie będzie. Proszę, już wolne.

Odsuwam się, żeby zrobić jej przejście, ale ona waha się, oglądając na mnie. Wiem, że poza imprezą dla dorosłych Mari i Saint zorganizowali tu coś w stylu kinderbalu, żeby rodzice mogli odpocząć bez swoich pociech; trzymałem się jednak z daleka od pomieszczeń zajmowanych przez dzieciaki, bo ich krzyki zazwyczaj wywołują u mnie migreny. Zdaje się, że Mari się nimi zajmowała, dlatego miała na sobie kostium bałwana...

Aha. I pewnie dlatego jej przyjaciółka nosiła kostium dinozaura. Teraz to nabiera sensu.

– Jestem Susie – oznajmia nagle dziewczynka, wyciągając w moją stronę rączkę. Robię głupią minę, bo nie bardzo wiem, co powinienem zrobić. Uścisnąć ją? – A ty?

No dobra. I tak już wpadłem głęboko w tę króliczą norę.

– Hugh. – Podaję jej dłoń, a ona ściska ją zaskakująco mocno. Uśmiecha się jeszcze szerzej, na co mimowolnie mam ochotę zrobić to samo. Powstrzymuję się w ostatniej chwili. – Często tak zaczepiasz obcych ludzi?

– Rzadko – odpowiada, a potem puszcza mnie, żeby pogrzebać w swojej różowej torebce, którą ma przewieszoną przez szyję. – Mama mówi, że to niebezpieczne, ale tutaj są sami swoi. To znaczy ciebie nie znam, ale też musisz być sam swój, prawda?

Jest w tym pewna logika.

– Chyba tak – przyznaję, podczas gdy ona z triumfalnym okrzykiem wyciąga coś z torebki.

To naklejka. Z triceratopsem. Którą mi właśnie podaje.

– Proszę, to dla ciebie – oznajmia. – To torozaur.

Chcę przyjąć naklejkę, ale dziewczynka po namyśle oddziela jej warstwy od siebie, a potem sama nakleja mi ją na koszulę. Gapię się na to kompletnie zdezorientowany.

Serio. Mam naklejkę z dinozaurem na koszuli.

– Triceratops – poprawiam ją odruchowo.

Ona tylko kręci głową.

– Torozaur – upiera się. – To inny gatunek. Sprawdź sobie w Google, jeśli mi nie wierzysz.

A potem, nie czekając na moją odpowiedź – choć już otwieram usta, żeby wyjaśnić, że torozaur to po prostu dorosła forma triceratopsa i nie powinna być rozpatrywana jako osobny gatunek – dziewczynka wchodzi do toalety i zamyka mi drzwi przed nosem.

Szkoda, bo wygląda na to, że mógłbym ją sporo nauczyć o dinozaurach.

Z westchnieniem odchodzę od drzwi i ruszam korytarzem z powrotem w stronę sali, gdzie bawią się wszyscy dorośli. Zerkam na zegarek. Dochodzi jedenasta.

Jeszcze godzina tej mordęgi, a potem będę mógł wracać do domu.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

WITAJ W SILVER SPRINGS, HUGH

Jeśli Sutton Clarke ma w życiu czegoś w nadmiarze, to z pewnością obowiązków. Niegdyś skupiała się tylko na narciarstwie, teraz poświęca się Susie – swojej siostrzenicy, której jest prawną opiekunką – i robi wszystko, by utrzymać na powierzchni siebie i powierzoną jej dziewczynkę.

Od sprzedawczyni w sklepie sportowym rodziców, przez bibliotekarkę, kelnerkę, baristkę, aż po recepcjonistkę w hotelu należącym do najlepszej przyjaciółki – nieco szalona panna Clarke nie waha się przed podjęciem żadnej pracy. Nie obawia się także wystąpić podczas sylwestrowej imprezy w stroju dinozaura...

Hugh Holloway przyjeżdża do uroczego Silver Springs, by pomóc w przygotowaniu do ślubu swojemu wspólnikowi i najlepszemu przyjacielowi, Saintowi

Ashfordowi. Hugh jest nieco wycofany, więcej radości sprawia mu snucie szczegółowych planów w Excelu niż brylowanie w towarzystwie dzieciaków na ich chaotycznych przyjęciach. Zwłaszcza takich, podczas których istnieje groźba przypadkowego nadeptnięcia na ogon dinozaura i oberwania w zamian... szarlotką.

Znajomość Sutton i Hugh nie rozpoczyna się najlepiej, ale tych dwoje jakoś będzie musiało dojść do porozumienia, skoro w walentynki mają stanąć obok Marigold i Santa jako świadkowie na ich ślubie...

● CUTE
●● SENSUAL
●●● SPICY
●●●● DARK



ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-2883-1



9 788328 928831

Cena: 54,90 zł